

Lipczyk, Wojciech

Feliks Szpecht, 26 V 1906-13 IX 1996 :
(pro memoria)

Almanach Muzealny 2, 333-339

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Odeszło już pokolenie warszawiaków, którzy kochali swoje miasto, nosząc w sercu przez całe życie obraz tamtej Warszawy, pięknej architekturą tworzoną od pokoleń, dumnej ze swojej stołeczności, zadziornej andrusami z Powiśla i Pragi, rozbawionej kabaretami i teatrykami tego Paryża Północy, tej „Warszawki”, nobilitowanej dynamicznym realizowaniem śmiałych planów prezydenta Starzyńskiego, dławionej przez pięć lat okupacji i zamordowanej przez Niemców po Powstaniu Warszawskim. Odrodzona – już nie taka – ale jednak Warszawa. Jak jej nie kochać? To Pan Feliks, kiedy zabrakło mojego teścia, Tadeusza Łopieńskiego, uczył mnie miłości do tego miasta, mówiąc: „Ci, co jeżdżą samochodami po Warszawie, w ogóle jej nie znają. Tu trzeba chodzić piechotą – wtedy coś widać. Ostatecznie można tramwajem, bo wolniej jedzie i ma przystanki”. Tak, to prawda. Warszawskie „społeczeństwo pośpiechu” w dobie



1. Feliks Szpecht, fotografia z 1988 r.

„cywilizacji jednorazowego użytku” nie ma czasu kochać ani swojego miasta, ani siebie. To „zbyteczny” luksus, nie na dzisiejsze czasy. Tylko po Krakowie nadal chodzi się na piechotę. Jak mówił Pan Feliks „Krakusy mają Rynek i mają czas na życie”.

Feliks Szpecht, warszawski mistrz brązowniczy, urodził się w Warszawie 26 maja 1906 r. na ulicy Żurawiej 9 jako piąte z dziewięciorga dzieci Antoniego i Aleksandry z Kreczmerów. Był siedmiomiesięcznym, dwukilogramowym wcześniakiem. Miał być Jerzym, ale „szkoda było tak dobrego imienia dla niemowlęcia, które i tak się przecież nie utrzyma”. Jednak utrzymało się, i to bez inkubatora, okładane butelkami z ciepłą wodą, polecone jedynie opiece św. Franciszka, czego widomym znakiem był habit, w który je odziewano na codzień do piątego roku życia. Potem Felek chodził już – bardzo się tego wstydząc – w „normalnych” spodniach, szytych przez matkę z wysłużonych, różowych sukienek w kwiatki po starszej siostrze.

Antoni Szpecht (17 IV 1871 – 8 IX 1944), ojciec Feliksa, był jednym z najzdolniejszych uczniów Jana Łopieńskiego. Zanim jednak został brązownikiem, przeszedł twardą szkołę życia. Jego ojciec, Jakub Szpecht, był czapnikiem, ale nie parał się tym zajęciem, bowiem w Młocinach, gdzie stał ich dom rodziny, miał „profinację”. Było to nic innego, jak prowadzenie z poruczenia właścicieli dóbr młocińskich karczmy stojącej przy drodze z Warszawy na Modlin. Antoni jako jeden z sześciorga dzieci Jakuba Szpechta (Szpecht, po niemiecku „dzięcioł”) i Marii z Dzięciołowskich (!) już w wieku 12 lat oddany został do „terminu” u jubilera. „Przy złocie robisz będziesz, to z głodu nie umrzesz” – mawiał rodzic. Ponad trzy lata spędził na posługach zanim zaczęto – i to niechętnie – dopuszczać go do niektórych tajemnic zawodowych. Wytrzymał jeszcze trochę i odszedł, zawiedziony w swoich oczekiwaniach i nadziejach. Jak wspominał o opowieściach swego ojca z tamtych lat Pan Feliks, „brakowało mu rozmachu i satysfakcji z pracy”. „Ścibolenie”, nawet przy złoty pierścieniach nie było tym, czego chciał od życia. Wyczekawszy z uporem jeszcze czas jakiś na zwolnienie się miejsca, trafił wreszcie Antoni na Ordynacką 3/5/7, tuż obok Cyrku Staniewskich do „gniazda” Łopieńskich, aby pod czujnym okiem nestora – Jana, a także jego synów Grzegorza i Feliksa zgłębiać tajniki zawodu brązownika. Był młody, miał „smykałkę” do tej pracy i zamiłowanie, był więc wyróżniany przez pryncypałów, co początkowo budziło niechęć czeladzi. Ale wrósł w środowisko, zdobył uznanie i ostatecznie zatrudnił się w firmie. Jedyne za czym szczególnie nie przepadał, to minogi, którymi dość często raczyła uczniów i czeladników pani Emilia – majstrowa (druga żona Jana Łopieńskiego), prowadząca „życie” dla pracowników firmy. Po drugiej wojnie światowej minogi wspomniano już tęsknie jako utracony rarytas. Ot, *signum temporis*.

Po pięciu latach Antoni Szpecht zdał egzamin czeladniczy. Pracował u Łopieńskich aż do 1898 r. Uczestniczył jeszcze – co wspomina nie bez satysfakcji, i to do końca życia – przy wykonywaniu brązów do pierwszego, wysadzonego przez Niemców warszawskiego pomnika Mickiewicza. To także i jego ręce tworzyły 72 sztuki ozdobnych słupków (tralek) do balustrady w narożnikach pomnikowego tarasu i 8 lir zdobiących narożniki tejsze balustrady „z liśćmi laurowemi, piórem i papierem na podstawie zniczów¹”.

Stołowanie u Łopieńskich, a tym samym definitywne rozstanie się z minogami – przynajmniej na jakiś czas – skończyło się w 1897 r., kiedy to w kościele Św. Karola Boromeusza na Chłodnej, ozdobionej przepiękną brązową figurą Matki Boskiej wykonaną przez Grzegorza Łopieńskiego, Antoni Szpecht, syn Jakuba, kawaler, czeladnik od Łopieńskich, ożenił się z panną Aleksandrą Kreczmer zamieszkałą przy ulicy Chłodnej 32, młodszą siostrą żony Franciszka Szpechta (starszego brata Antoniego). Podwójny węzeł rodzinny Szpechtów i Kreczmerów zawiązano bez przeszkód, bowiem w rodzinie Kreczmerów, zgodnie z kontraktem przedślubnym, tylko synowie, tak jak ojciec byli ewangelikami, zaś córki, tak jak matka, katoliczkami. Aż łza się w oku kręci. Ileż tolerancji i chrześcijańskiej miłości bliźniego było w ludziach równo sto lat temu.

W rok po ślubie Antoni Szpecht, któremu urodził się już pierwszy syn, w swym mieszkaniu na Solcu założył własną pracownię brązowniczą, która „śpiesznie wykonywa, starannie i akuratnie wszelkie zlecenie P. T. klientów”. Powiększającą się niemal z roku na rok rodzinę było jednak coraz trudniej utrzymać, tym bardziej, że Antoni miał przecież tylko dwie ręce, a jako czeladnik nie mógł zatrudniać ani uczniów, ani pomocników. Klientela na Powiślu trafiała się też nieczęsto. Wpadały czasem zleczone roboty od Grzegorza lub Feliksa Łopieńskich, ale to za mało. Było coraz ciężej i coraz biedniej. Nieznośne zjeżdżanie po równi pochyłej skończyło się jednak wreszcie w 1903 r., kiedy to Antoni został upragnionym mistrzem i pełnoprawnym członkiem „Zgromadzenia Bronzowników i Mosiężników miasta Warszawy”. Kiedy Łopieńscy przenieśli swoją firmę z Ordynackiej do własnej posesji na Hożą 45 (po zamianie numerów Hoża 55), Szpecht ich śladem przeprowadził się także do śródmieścia, na Żurawią 14, gdzie gnieździł się w dwóch pokojach z całą rodziną. Wreszcie w 1904 r. pan majster Antoni Szpecht przeniósł się do pięciopokojowego mieszkania na parterze w drugim podwórku przy Żurawiej 9. Tu, w największym z pokoiów powstała pracownia brązownicza z prawdzi-

¹ Cytat z „Deklaracji Firmy G. Łopieńskiego dla Komitetu budowy pomnika Adama Mickiewicza w Warszawie” z 19 stycznia 1898 r.

wego zdarzenia, ze stanowiskami pracy dla majstra, trzech czeladników, czterech uczniów oraz regałami wypełniającymi się sukcesywnie modelami małych rzeźb kameralnych oraz setkami przedmiotów sztuki użytkowej, niezbędnymi w mieszczańskich – i nie tylko – domach w końcu XIX i na początku XX w. Lokal wyposażony był już wtedy w nowoczesne oświetlenie – żyrandole gazowe „roboty własnej, firmy tutejszej Antoni Szpecht – Warszawa”.

W firmie od samego początku unikano bezkunsztownych robót. Wykonywano, zgodnie ze swoją – zachowaną szczęśliwie do dziś – wizytówką reklamową, „Bronzy Artystyczne, Stylowe, Salonowe i Kościelne, złożone w ogniu i galwanicznie”. Wytwarzane były także herby (kartusze), szkatułki, garnitury biurkowe do pisania, bogato zdobione i złożone klamry do pasa, nie mówiąc już o kandelabrach, kinkietach czy żyrandolach.

Ówczesne produkty brązownicze zjednywały sobie coraz większe uznanie w kraju i w Rosji. Te czasy Wokulskiego owocowały dynamicznym rozwojem tego rzemiosła, bowiem: „wyroby warszawskie zajmują pierwsze miejsce na rynkach rosyjskich pod względem dokładności wykonania, estetyki, trwałości, i jako takie są poszukiwane. W takim stanie pomyślnego rozwoju przychodzi rok 1905. Wojna rosyjsko-japońska spowodowała zastój w niektórych gałęziach przemysłu i na przemysł brązowniczy wpłynęła ujemnie”². Tak dalece ujemnie, że Antoni ledwo wiązał koniec z końcem. Dzieci przybywało, rosły, trzeba je było nakarmić, ubrać i posłać do szkoły. Starsze córki miały na szczęście blisko, bo na Żurawiej pod dziesiątym „od frontu” istniała pensja dla panien, prowadzona przez szacowną panią Zofię Stiche, wdowę, której sześć córek było w tejże pensji nauczycielkami. Źle się działo u Szpechtów, gdy nie było zamówień, ale pani Zofia Stiche, chcąc pomóc, nie tylko nie brała czesnego za dziewczynki, ale też wytrwale suszyła głowę arcybiskupowi Aleksandrowi Kakowskiemu, który często był na proszonych obiadach w jej domu, że ten *nolens volens* przychodził – a jakże – zostawiając dla „pana Antoniego z dziećmi” zamówienia a to prywatne, od siebie, a to dla kościołów. Arcybiskup doceniał wysoką jakość wyrobów Szpechta, czego dowodem do dzisiaj chociażby 12 ocalałych szczęśliwie Zacheuszek, wykonanych w 1911 r. dla kościoła Niepokalanego Poczęcia N. M. Panny na Bielanach, przy ulicy Dewajtis. Te piękne Zacheuszki, złożone ogniowo, cyzelowane głęboko, miękko i finezyjnie, wykonał Szpecht według projektu swego przyjaciela, rzeźbiarza Cytka, Czecha osiadłego

² T. Groszkowski, *Monografia Cechu Mosiężników i Brązowników m. st. Warszawy*, Warszawa 1922, s. 56.

w Warszawie. Ocalały w teży świątyni także dwa trzyramienne „zacheuszkowe” kinkiety umieszczone przy ołtarzu głównym.

Arcybiskup Kakowski zapisał się szczególnie w pamięci Pana Feliksa. Swego czasu dostarczył bowiem jego ojcu, Antoniemu, do remontu dwa wspaniałe brązowe kandelabry Ludwik XVI, suto złożone, z kryształami. Stały owe nieszczęsne świeczniki na podłodze w pracowni, „zgotowane” już pieczolowicie, kiedy w niedzielne popołudnie Feliks ze swym młodszym bratem Jurkiem, galopując co koń wyskoczy, rozpoczęli podróż po krainie marzeń. Który z nich był wówczas wierzchowcem, a który ujeżdżał znarowionego, nawet wtedy nie było wiadomo, bo sytuacja zmieniała się z minuty na minutę. Tragiczny upadek konia i jeźdźca zaowocował potłuczonymi kryształowymi plastronami i ojcowskim laniem spuszczonego obu „kozakom” różgą, która zawsze jak *memento* tkwiła zatknięta za lustrem. Feliks przyjął – jak zawsze zgodnie i godnie wyroki losu, ale Jurek, zbuntowany, siedząc pod stołem burczał pod nosem, „jeszcze się tatuś będzie prosił, jeszcze tatuś przyjdzie w łaskę. Konia może się i bije, ale to Felek był koniem. Jego poniosło! A mnie za co?”

Rzeczywiście Pana Feliksa „nosiło” od najmłodszych lat. Uwielbiał wędrowanie. To ojciec zaszczepił w nim tę pasję. W lecie niemal w każdą niedzielę brał bowiem Antoni gromadkę swych dzieci i maszerowali na Bielany, a bywało czasami, że i nawet do Młocin. To były wyprawy! Najpierw tramwajem do pętli na placu Muranowskim. Stamtąd przez Nalewki i żydowską enklawę, zostawiając po lewej stronie barak Dworca Gdańskiego, wędrowali aż do pierwszego dłuższego postoju przy źródle istniejącym ongiś w rejonie dzisiejszej ulicy generała Zajączka. Przy tym wodopoju dla ludzi i koni stawała zawsze na popas cała masa wozów, począwszy od towarowych „placform”, przez chłopskie furmanki, na bryczkach i dorożkach skończywszy. Woźnice, dorożkarze i arystokracja tego zawodu – stangreci. Liberie, szamerunki, „zielonki” i baranice. Ileż do oglądania dla dzieciaków i do posłuchania! Nie na darmo mówiło się wtedy o kimś tam, że klnie jak furman. Docierali na Bielany czasem i „lepszą” drogą, bardziej lubianą przez Pana Feliksa. Z placu Krasieńskich, Sapieżyńską do figury Matki Boskiej. Po drodze była i jest nadal, gotycka studnia, z której wycieczka „Dzięciołów” obowiązkowo piła wodę. Potem Zakroczymską pod torami i zostawiając po lewej Cytadelę, szli ulicą Skazańców aż na Marymont, by przez Las Bielański dotrzeć do kościoła. Cudowne niedziele na Bielanych. Latem Mekka warszawiaków. Jakże głośno mówiło się o nich niegdyś, ba nawet po wojnie, i jak cicho jest teraz. Swojsko, radośnie i bezpiecznie było kiedyś tam w lesie. Dziś strach został i wspomnienia. To właśnie tu Pan Feliks nauczył się – jak mawiał „po prostu być z przyrodą”. Uczył tego swoje dzieci i wnuka. Zabierał go na letnie kilkutygodniowe piesze (!) wędrowki po Polsce, bez na-

miotu, z nocowaniem w lesie, w kopkach zboża, w chłopskich stodołach, z pieczeniem ziemniaków w puszkach po konserwach, łapaniem ryb czy zbieraniem grzybów na ogniskową obiadokolację. Przewędrował *per pedes* tę Polskę wzdłuż i wszerz, odkrywając i zwiedziwszy wszystko, co było godne zobaczenia. Jeszcze mając 80 lat był zapalonym globtroterem. Potrafił poradzić sobie w każdej sytuacji. Przeszedł piekło Powstania Warszawskiego. Kiedy odcięty od swoich nagłym atakiem Niemców dołączył do resztek jakiegoś rozbitego oddziału, wbrew sugestiom wyższych szarż, chciał przebijać się piwnicami w kierunku Powiśla. Część poszła za Nim. Zmaltretowani, ranni, wycieńczeni i głodni znaleźli po kilku dniach w jednej z piwnic przywalony deskami worek ziemniaków. Upekli je i zjedli, okraszając lnianym pokostem z puszki wyszperanej gdzieś przez Pana Feliksa pod gruzem. Przeżyli szczęśliwie i to jedzenie, i Powstanie.

Los nie był jednak tak łaskawy dla wszystkich. Dnia 8 września od bomby, która upadła na podwórko Żurawiej 9 zginął Antoni Szepecht. Był chory, ale nie chciał opuścić pracowni. Kazał tam sobie wstawić łóżko. Zasypało go gruzem, tynkiem i odłamkami. Najwyższą cenę, wyznaczoną przez „kulturträgerów”, zapłacili też inni członkowie tej rodziny, a Jurek w Powstaniu stracił nogę.

Dla Feliksa pierwszy powrót do Warszawy zakończył się rozpaczliwym poszukiwaniem czegokolwiek, co zostało po hekatombie i po „Brennerkomando Warschau”. Z własnej „Pracowni Artystycznej Bronzowniczko—Cyzelerskiej” założonej w 1931 r. przy ulicy Świętokrzyskiej 10 wygrzebał spod gruzów pojemnik z własnoręcznie wykonanymi puncynami (dłutami cyzelerskimi) i list reklamowy rozsyłany ongiś do potencjalnych klientów następującej treści: „Mając odpowiednie przygotowanie fachowe³ otworzyłem pod wyżej wskazanym adresem pracownię bronzowniczko—cyzelerską, której specjalnością jest wykonywanie wszelkich wyrobów z brązu i pokrewnych metali, o prawdziwie wysokim poziomie artystycznym, we wszystkich znanych dotychczas stylach. Zakres wytwórczości mej pracowni jest nader rozległy, wyrabiam bowiem nie tylko różne drobiazgi artystyczne, nadające się na upominki okolicznościowe i nagrody sportowe, ale i przedmioty o poważnym zakresie pod względem artystycznym i wartościowym, a mianowicie: żyrandole, akcesoria kościelne, stylowe okucia do mebli, patery, wazony itp. Przyjmuję rów-

³ Feliks Szepecht praktykując u swego ojca, skończył Szkołę Rzemiosł i Sztuki Stosowanej przy ulicy Chmielnej. Mistrzem brązowniczym został w 1925 r. Zdawał egzamin razem z Tadeuszem Łopieńskim. Ich przyjaźń datuje się właśnie od tej pory. Po śmierci przyjaciela Feliks Szepecht służył radą i pomocą Annie Łopieńskiej—Lipczyk w prowadzeniu „Pracowni Sztuki Dekoracyjnej, dawniej Bracia Łopieńscy”.

niez wszelkiego rodzaju naprawy antyków, zastaw stołowych, sreber i platerów. Złocę, srebrzę, nikluję wszelkie przedmioty w zakres mojej specjalności wchodzące. Wykonuję powierzone mi prace solidnie, terminowo i tanio". Z pracowni na Żurawiej 9 zrabowano wszystko, co ocalało po wybuchu bomby, a miało jakąkolwiek wartość, i czego Antoni nie zdążył zakopać w piwnicy. Pracowity żywot Szpechtów – Ojca i syna. Wykuwany młotkiem cyzelerskim uczciwie i pięknie. Znaczony okrucami szczęścia jak wtedy, gdy wysłane w 1914 r. na Wystawę Przemysłu i Handlu do Moskwy skrzynie z cennymi brązami wróciły do Antoniego w ostatnim cywilnym pociągu, który dotarł do Warszawy z Rosji przed wybuchem wojny. Czy też żywot człowieka poczciwego, zmrożony chwilą zwątpienia w ludzi, kiedy to – w latach siedemdziesiątych – jeden ze słynnych wówczas śpiewaków operowo–estradowych, bas i kolekcjoner, chory z zachłanności oszukał Pana Feliksa nie płacąc, ot po prostu, za zleczone i wykonane dlań cenne brązownicze prace konserwatorskie, renowacyjne i cyzelerskie, mimo wielokrotnych próśb i wizyt starszego, bezbronnego człowieka. Czy też żywot znaczony chwilą buntu, kiedy to po wkroczeniu Armii Czerwonej do Afganistanu przedstawiciele nowego personelu ambasady afgańskiej przynieśli Annie Łopieńskiej–Lipczyk zamówienie na nowe godło „nowego państwa”, prawie takie samo jak NRD–owskie. Miało ono zasłonić dotychczasowe, przedstawiające „Sztandar Mahometa z cytatem z Koranu”. Pan Feliks pracujący wówczas na pół etatu w „Pracowni Sztuki Dekoracyjnej, dawniej Bracia Łopieńscy” zbuntował się i nie chciał cyzelować „takiego wynalazku”.

Nie znalazłem drugiego tak dobrego, uczciwego, życzliwego i pełnego radości życia człowieka. Nauczyłem się od niego bardzo wiele.

Odszedł 13 września 1996 r.

Zobaczmy, jak wyglądał ten człowiek, który w 1914 r. wyjechał do Moskwy, a w 1915 r. wrócił do Warszawy i został zatrudniony w Pracowni Sztuki Dekoracyjnej, dawniej Bracia Łopieńscy. Odkryjemy, jak wyglądał ten człowiek, który w 1914 r. wyjechał do Moskwy, a w 1915 r. wrócił do Warszawy i został zatrudniony w Pracowni Sztuki Dekoracyjnej, dawniej Bracia Łopieńscy. Odkryjemy, jak wyglądał ten człowiek, który w 1914 r. wyjechał do Moskwy, a w 1915 r. wrócił do Warszawy i został zatrudniony w Pracowni Sztuki Dekoracyjnej, dawniej Bracia Łopieńscy.

Zobaczmy, jak wyglądał ten człowiek, który w 1914 r. wyjechał do Moskwy, a w 1915 r. wrócił do Warszawy i został zatrudniony w Pracowni Sztuki Dekoracyjnej, dawniej Bracia Łopieńscy. Odkryjemy, jak wyglądał ten człowiek, który w 1914 r. wyjechał do Moskwy, a w 1915 r. wrócił do Warszawy i został zatrudniony w Pracowni Sztuki Dekoracyjnej, dawniej Bracia Łopieńscy.